

Zhit. 35 / 2.09.79

Dylemat Pintera

„Zdrada” jest najrzędniej napisaną sztuką Harolda Pintera. Jak wirtuoz operuje on tutaj swoją znakomitą techniką dramatopisarską, dialog jest zwięzły, nasycony, chwilami błyskotliwy. Cudowny materiał dla aktorów. A jest to z pozoru najbardziej płaska, banalna ze sztuk autora „Dozorcy”. Ot, zwyczajna historia trójkąta małżeńskiego, tyle że opowiedziana od końca. Ta retrospekcja pozbawia zresztą widzów ciekawości „co będzie dalej”. Wszystko jest od początku wiadome, uwaga koncentruje się nie na akcji, lecz na zachowaniu, rozmowach, psychice bohaterów.

Początkowo wydaje się, że to zwyczajna sztuka bulwarowa, napisana z wyrafinowaną techniką. A jednak nie wszystko jest takie proste, jakby mogło się na pierwszy rzut oka wydawać. To prawda, że w dawnych sztukach Pintera były obok spraw oczywistych zawsze jakieś niedomówienia, coś, co kryło się w tajemniczy sposób pod powierzchnią — w „Dozorcy” i w „Urodzinach Stanleya”, w „Kochanku”, „Kolekcji”, „Dawnych czasach”. Może najmniej było owej trochę niesamowitej tajemniczości w „Powrocie do domu”. W „Zdradzie” tego w ogóle nie ma. Ale sztuka ma jednak dwie warstwy, zewnętrzną, czytelną dla każdego, i tę głębszą, do której trzeba się dokopać. I właśnie dlatego, że warstwa zewnętrzna jest tak łatwa, tak czytelną, tak oczywistą, że aż banalna, znacznie trudniej jest uchwycić drugie dno sztuki. Pinter zastawia na swoich widzów bardzo chytra pułapkę.

Jakież więc jest to głębsze znaczenie „Zdrady”? Oddał je chyba dobrze tytuł, pod jakim grano tę sztukę w Wiedniu: „Zdradzeni” („Betrogen”). Można to także przetłumaczyć jako „oszukani”. Albowiem w tej gorzkiej, pesymistycznej sztuce o współczesnych ludziach wszyscy są oszukani, wszyscy są zdradzeni. Kochanek oszukuje swego najlepszego przyjaciela, żyjąc przez długie lata z jego żoną. Żona zdradza męża, lecz oszukuje kochankę, nie mówiąc mu, że maż wie o wszystkim. Mąż zdradza żonę, wiedząc, że ona go zdradza,



„Zdrada” Pintera w Teatrze Powszechnym w Warszawie. Od lewej: Elżbieta Kępińska, Leszek Herdegen i Edmund Fetting.

Fot. Renata Pajchel

dza, i oszukuje swego najbliższego przyjaciela, spotykając się z nim co tydzień na „kawalerskim” obiadku i partii tenisa. Wszyscy żyją w kłamstwie, obłudzie i tak do tego przywykli, że jest im z tym dobrze. Sami siebie oszukują. Dopiero ujawnienie prawdy powoduje trudności i komplikacje. Zmieniają się układy, kochanek rzuca kochankę, ona znajduje sobie kogoś innego, małżeństwo się rozpada, dwojaj przyjaciele czują się bardzo głupio nie dlatego, że dowiedzieli się o rzeczach przykrych, lecz dlatego, że zostało to powiedziane. Ale przejdą nad tym do porządku. Zbyt wiele ich łączy, bardzo się lubią, pracują ze sobą od lat.

I tu zarysowuje się leciutko druga myśl sztuki. Jest nią delikatne stwierdzenie, że prawdziwa przyjaźń

możliwa jest tylko między mężczyznami. I nie chodzi tu wcale o jakieś dewiacje seksualne, po prostu o prawdziwą możliwość porozumienia. Kobiety ze swą erotyką, kapryśkami, nieobliczalną logiką, mogą być tylko przeszkodą. Bardzo to angielska sztuka i dlatego najlepiej rozumieją ją na pewno mieszkańcy brytyjskiej wyspy. Gdzież bowiem indziej można znaleźć angielski klub, w którym spotykają się na lunchu mężczyźni, a kobietom w zasadzie wstęp jest wzbroniony. Gdzież istnieją takie azyl dla panów, którzy pocieliby sobie po prostu pogadać, dobrze zjeść i wypić bez posfronnych świadczeń. I gdzie jest kraj, w którym dyskretna byłaby tak daleko posunięta, iż zdradzany mąż nie powie swojemu przyjacielowi w ciągu kilku lat, iż wie

doskonale, że jego żona go z nim zdradza?

„Zdrada” jest więc sztuką wcale nie tak płytką i bezmyślną, jakby się mogło wydawać. Jej korzenie tkwią w dramaturgii bardzo dobrze nam znanej. To przecież współczesna odmiana dramatu czechowskiego. Tak jak u Czechowa ludzie jedzą, rozmawiają o sprawach nieważnych, a oto właśnie rozgrywa się istota ich życia. I tak jak u Czechowa nie jest to wcale tragedią, lecz smutną komedią, może tragicomedią. Już w „Dozorcy” zawdzięczał Pinter w sztuce dramaturgii rosyjskiej. Tam było więcej z Gorkiego i jego „Na dnie”. Tu słyszemy częściej echa „Wujaszka Wani”. Nawet mimowolną śmieszność sytuacji, w jakich ukazuje Pinter bohaterów, jest bardzo czechowską.

Oglądałem „Zdradę” w ciągu ostatnich trzech miesięcy dwukrotnie: w Wiedniu na scenie tilli Burgtheateru, w tzw. Akademietheater. I w Warszawie w Teatrze Powszechnym. W Wiedniu wyreżyserował ją Anglik Peter Wood, jeden z najsłynniejszych reżyserów angielskich naszych czasów. Krytycy, którzy oglądali londyńska premiera w reżyserii Petera Halla, twierdzili, że porównanie wypada na korzyść przedstawienia wiedeńskiego. Do stworzenia właściwej atmosfery przyczyniła się scenografia przygotowana przez angielską ekipę: Carla Tomsa (dekoracje i kostiumy) i Roberta Bryana (światła). Bardzo efektywnie rozegrana została retrospekcja, z pomocą napisów wyświetlanych na kurtynce pomiędzy poszczególnymi obrazami, co przypominało programy telewizyjne. Bardzo dobrzy wiedeńscy aktorzy udawali no troszeczko Anglików, byli opanowani, ubrani w świetnie skrojone angielskie garnitury, swetry i suknie, lecz od czasu do czasu przebiegała w ich grze austriacka miękkość, owa „Gemütlichkeit” szczególnie widoczna w sympatycznej grze Sonii Sutter (Emma). Joachim Bismeyer był znakomity w roli zdradzonego męża, zaś Karlheinz Hackl dotrzymał mu ślachu jako niewierny, choć w końcu jednak wierny przyjaciel.

W Warszawie spektakl wyglądał inaczej. Mniej w nim było angielszczyzny, której polscy aktorzy nie próbowali nawet udawać. I tak było dobrze. Ta historia mogła się przecież wydarzyć nie tylko nad Tamizą, lecz także nad Wisłą. Wydawca mógł być nie tyle właścicielem wielkiej firmy, ile dyrektorem poważnej spółdzielni wydawniczej. Tak też zagrał go Edmund Fetting, elegancko

i z pewną nonszalancją. Wierzyliśmy mu całkowicie, że w gruncie rzeczy nie boli go zdrada Emmy. Jest mu prawie obojętne. Natomiast zależy mu najbardziej na przyjaźni Jerry’ego (Leszek Herdegen). Podtekst sympatii i więzi, jaka łączy w tej sztuce dwóch mężczyzn, został w przedstawieniu warszawskim wydobyty subtelniej, lecz i mocniej niż w Wiedniu; sztuka stała się wyraźnym oskarżeniem kobieć. Jan Bratkowski, reżyser przedstawienia, zadbał o to, by podkreślić polski koloryt wieczoru. Panowie pili tu zapewne nie whisky lecz wódkę, co było wyraźne w ich zachowaniu i w sposobie mówienia. Ich intymne wyznania były dzięki temu znacznie bardziej szczere i swobodne niż w przedstawieniu wiedeńskim, bardziej po angielsku zasznurowanym i skrępowanym.

Leszek Herdegen zagrał Jerry’ego znacznie romantyczniej niż jego wiedeński kolega. To była prawdziwa miłość i wielka namietność, ładna i przekonująca, bardzo polska. Aktor wiedeński traktował stosunek z Emmą jako wygodną przegodę, rzeczowo, konsumpcyjnie, rozrywkowo. To też rozstanie było dla niego przykre, a nie przeżycie. Znacznie bardziej bolały go komplikacje, jakie ze stosunku z Emmą wynikły dla niego wobec Roberta. Lecz właśnie dzięki odmiennemu potraktowaniu miłości Jerry’ego i Emmy sztuka staje się strawną dla polskich widzów, którzy nie lubią w tych sprawach cynizmu i obojętnej rzeczowości.

Najtrudniejszą rolę miała w tym przedstawieniu Elżbieta Kępińska w roli Emmy. Ta postać jest tak bardzo angielska, że najtrudniej transponować ją na polskie warunki. Lecz dzięki wielkiemu swemu talentowi belfra Kępińska tego dokonała. Była ciepła, pełna nadwiślańskiego wdzięku, po angielsku ubrana z polską elegancją, jednym słowem wierzyliśmy jej, że mogli się w niej zakochać i kochać ją po swojemu obydwa panowie, nawet jednocześnie. Nie mieliśmy też do niej żalu, że obydwa zdradzała. Stać ją było na to, miała każdemu z nich (i może jeszcze jednemu) wiele do ofiarowania.

„Zdrada”, grana w przekładzie Bolesława Taborskiego nie jest dziełem wielkiego wymiaru, nie zamierzam tak twierdzić. Sądzę jednak, iż zarówno sztuka, jak i jej warszawskie przedstawienie są lepsze, głębsze i mądrzejsze od tego, co się o nich u nas pisze i mówi.